

Wyznanie konformisty

Adam Poprawa

ZNANY BOHATER LITERATURY POWSZECHNEJ ZASTANAWIAŁ SIĘ kiedyś nad solą, jej znaczeniem i trwałością. Ujął rzecz w zgrabnym paradoksie, może i aporii: jeśli sól utraci swój smak, czym ją posolić? Po dwóch tysiącach lat kwestia nie przedstawia się już tak dramatycznie. Jeśli jest kawa bezkofeinowa, to pewnie i sól bezsólą da się wynaleźć; twórcy kuchni autorskich już się postarają.

Sól zaś dobrze się nadaje do neutralizowania nijakości. W pisaniu o literaturze sięgano dawniej po tę przyprawę bez zahamowań. Na przykład Wacław Nałkowski w 1904 po prostu przysolił Sienkiewiczowi. Zaczął od nazwania go „maszką i karłem”, a potem, jak u Hitchcocka, napięcie tylko wzrastało. Owszem, posłużył się na początku również określeniem łagodniejszym, uznając pisarza za „anamorfozę społeczną”. Zaraz też przedstawił wnikliwy portret psychologiczny autora *Bez dogmatu*, nie unikając precyzyjnych epitetów:

„Pan Sienkiewicz należy mianowicie do pewnego typu nerwowców, który w mej klasyfikacji nazwałem kiedyś abiologiczno-asocjalnym albo dekadencją (nadając temu ostatniemu mianu ściślej określone znaczenie); typ ten, nie znajdując oparcia, osi życiowej, ani w sobie, w swej fizycznej energii, jako nazbyt, względnie do swych zasobów biologicznych, przesubtelniony (czy to z natury, czy wskutek nadużyć), ani na zewnątrz siebie, w dążeniach społecznych, jako asocjalny, szuka zwykle takiego oparcia w sztuce, w otoczeniu się pięknymi cackami, w sybarycko-artystycznej dyletanckiej kontemplacji”.

Żeby nie skłamać, Nałkowski polewa już zalczaerem. Potem jeszcze wygarnie Sienkiewiczowi za pochodzenie, pracę korepetytora w szlacheckich domach i niskie pobudki, czyli dążenie do sławy i ekonomicznej pomyślności. Przesolony do imentu pisarz już się nie podniesie, ale problem pozostaje: „Zobaczmy teraz, jak te skutki działalności pana Sienkiewicza na nasze ciemne, ociężałe, skolatanie społeczeństwo były fatalne. Rozlała ona w żyły społeczeństwa ciemnotę, niewolniczość, zwierzęcość, wzmogła filisterię, ożywiła gnijącą szlachetczyznę i arystokrację z jej bezdusznymi formami, dobrym tonem, herbami itd.; usprawiedliwiła oportunizm”.

A gdyby ktoś tak dzisiaj o kimś napisał, jak zareagowałoby nasze społeczeństwo, ani przesadnie jasne, ani lotne, ani nawet specjalnie świeże? Osoby pozostające wciąż w słodkim kręgu intelektualnej adolescencji krzyknęłyby pewnie o klasyzmie, ale zaraz by zwątpiły, bo nawet młody biedny Sienkiewicz nie nadaje się na wykluczonego.

„Albo jak prywatnie spytał kiedyś z głupia frant nieboszczyk Jan Lechoń: »A jakież jest inne życie, jak nie płciowe?«”. Witkacy w *Nienasyceniu*. Gdyby te słowa ukazały się nie w roku 1930, lecz teraz, Lechoń musiałby być zupełnie nie nasz, żeby nie przepaliły się łącza internetu. I mniejsza już o uśmiercenie poety, poważniejszy problem jest inny. Środowiska jawnie niedwupłciowe pospiezilyby z serią oświadczeń o homofobii Witkiewicza.

Jeszcze w 1992, w słynnej ankiecie paryskiej „Kultury” o pisarzach niedocenionych i przecenionych, soli nie brakowało. Henryk Bereza przypisał Miłosza do drugiej kategorii, tak uzasadniając swój sąd: „sporadyczny poeta, mierny prozaik, biegły eseista, na Nobla może wystarczyć, na prawdziwą wielkość za mało”. Antoni Libera natomiast podsumował Hannę Krall: „zżerana straszliwą ambicją autorka reportaży, która złapawszy raz Pana Boga za nogi w osobie Marka Edelmana (głośny wywiad *Zdążyć przed Panem Bogiem*) i wyniesiona dzięki temu na wyższą orbitę (nagrody, tłumaczenia, stypendia), uwierzyła, że jest pisarką z prawdziwego zdarzenia i zaczęła płodzić wysoce pretensjonalne opowieści auto- lub parabiograficzne”. Może jeszcze Janusz Sławiński o Gałczyńskim: „dzis jego poezja cieszy się jeszcze wzięciem wśród jednej formacji wielbicieli – panów w okolicach sześćdziesiątki, którzy w uczuciowości i gustach na zawsze pozostali sentymentalnymi zetempowcami z lat swojej młodości. Kogo po ich wymarcu będzie w stanie skłonić ku sobie ta stara kokota – tandetnie wysztafirowana?”.

Takie były zabawy, spory w one lata. A dziś i o szczyptę soli trudno. Zaproszono mnie niedawno do udziału w tomie zbiorowym traktującym o Białoszewskim, przygotowywanym w poważnej instytucji. Napisałem zatem, przyjmując zaproponowany temat, o trzech tomach *Utworów zebranych* z ineditami i tekstami rozproszonymi. Zająłem się też recepcją tych woluminów. Pierwszy z nich anonsowała publicystka w chaotycznej liście 25 *hitów roku 2015*, ogłoszonej co prawda na początku roku; tytuł tomu Białoszewskiego pojawił się tam zresztą w postaci przekręconej. Wskazałem, iż „nazwisko autorki zestawienia, Małgorzaty I. Niemczyńskiej, nie każe się spodziewać ani poważnej aksjologii, ani rzetelnego traktowania literatury”. Niedobrze. Pani redaktor, że warto złagodzić, że *ad personam*. Tłumaczyłem, że to wniosek z lektur innych tekstów rzeczony Niemczyńskiej; uderzałbym w osobę, gdybym na przykład napisał o niej jako wegance lub entuzjastce golonki. Nie pomogło. W drugim niepokojącym fragmencie, zastanawiając się nad brakiem tekstów Justyny Sobolewskiej i Tadeusza Sobolewskiego poświęconych trzeciemu tomowi uzupełnień, wtrąciłem w nawiasie: „oboje Sobolewscy nie mieliby pewnie nic przeciw napisaniu również o drugim tomie różności poetyckich, jednakże, jak wolno się domyślać, ich redakcje uznałyby te omówienia za nadmiar Białoszewskiego na ichnich łamach...”. Pani redaktor zaproponowała skreślenie.

Wymiana kulturalnych mejli pociągnęła się. Proszę usunąć. Proszę zostawić. Proszę usunąć. Proszę zostawić. Rozumiem pana, ale proszę. Chyba nawet zdążyliśmy się żyć i polubić z Panią redaktor. Czy dlatego ustąpiłem? Nowa wersja pierwszego fragmentu: „Po tego rodzaju publikacjach trudno zresztą spodziewać się rzetelności czy choćby poważnego traktowania literatury” (Niemczyńska i tak w przypisie). Zmiana druga: „aczkolwiek mam zasadne powody mniemać, iż oboje Sobolewscy nie mieliby nic przeciw napisaniu również o drugim tomie różności poetyckich...”. Coś to! ●